№ 43.

Warszawa, dnia 24 Października 1865 r.

# TYGODNIK MÓD

## NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

**CENA. w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*. w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki,** prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

## BITWA POD KIRCHOLMEM.

(Dokończenie)

Szyk ten składał się z trzech oddziałów. Na czoło Chodkiewicz postawił swój pułk hetmański, trzysta pysznéj hussarji pod dowództwem porucznika Wojny, przyłączywszy do niego rajtarję kurlandzką. Lewe skrzydło zajął Tomasz Dąbrowa, z dwustoma towarzyszami jazdy pancernéj i trzema lekkiemi chorągwiami tatarskiemi; prawe Jan Sapieha, starosta Uświacki, na czele swojéj chorągwi dwustu hussarzy i czterystu pięćdziesięciu lekkiéj jazdy. Z główną rezerwą, na odwodzie dla środkowego hufca Polaków, stanął Teodor Laski z chorągwią dwustokonną, mając również przy sobie pod sprawą Rossego czerystu piechoty hetmańskiéj i około sześciuset innéj, podzielonéj na cztéry chorągwie. Rezerwę obu skrzydeł miał pod sobą Komorowski, a byli w niéj ochotnicy ze szlachty polskiéj, litewskiéj, i inflanckiéj, oraz jedna rota hussarzy. Byłby może kto inny, korzystając z rozmaitości tych broni, nieliczne te hufce tak ustawił, żeby co do rzeczywistéj swéj mocy mogły w błąd wprowadzić nieprzyjaciela, ale Chodkiewicz gardził tak dobrodusznym podstępem. Owszem, z umysłu bardziéj jeszcze ścieśnił swoje szeregi, żeby mała owa garstka zdawała się Szwedom jeszcze słabszą, i żeby w swéj pysze z tém większą pewnością licząc na zwycięztwo, lekce sobie polskie siły ważyli. Karol, lubo z taką liczebną przewagą, ostrożnie jednak rozlokował się po wzgórzach i rozpoczął ogień z baterji śmigownic. Odpowiedziały im drobne nasze działa hetmańskie, w liczbie siedmiu, ale celne ich strzały nigdy nie padały naprożno, gdy tymczasem szwedzkie, z armat nadmiernéj jak na tak małą odległość długości, najczęściéj przelatywały ponad naszych głowami.

Szkodliwsze były rusznice, w które przeważna liczbą piechota szwedzka była uzbrojona; przeciw nim nasi byli prawie jakby bezwładni. Stać dłużéj spokojnie, byłoby to narazić się na śmierć niechybną; z jazdą, stanowiącą całą moc małéj armji Chodkiewicza, rzucić się na silne szwedzkie pozy-

cje, byłoby to szaleństwem, do którego jedna tylko upoważniałaby rozpacz. Ale Hetman nie rozpaczał jeszcze; owszém, widząc zapał i ducha poświęcenie, malujące się w obec niebezpieczeństwa na twarzach dowódzców i żołnierza, nie tracił ani na chwilę nadziei zwycięztwa. Szło tylko o to, żeby ściągnąć nieprzyjaciela ze wzgórzy i ścieśnione jego i niedostępne szeregi wystawić ze wszech stron na natarczywość polskiéj konnicy. Harcownikom, którzy dzielnie na wszystkich punktach niepokojąc Szwedów, pod sam ich ogień bezustannie się podsuwali, kazał tedy Chodkiewicz ścisnąć się w jedną gęstą kolumnę i nagle, jakby rażeni byli piorunem, podać tył i rzucić się do odwrotu. Dym z dział obu szyków nie pozwolił królowi szwedzkiemu dojrzéć istoty tego podstępu; widząc ruch ze strony przeciwnéj, sądził, że już cała armia polska w popłochu. „Chwała Bogu! zawołał, Polacy uciekają! Wszakże wam to zaraz mówiłem! A teraz na nich! i niech ani jeden żyw nie ujdzie." To mówiąc, spiął konia ostrogą, i w towarzystwie swoich oficerów sztabowych sam oznajmił piechocie rozkaz do ataku.

Wspaniały to był widok, gdy, niby jedno żyjące stworzenie, wybornie wyćwiczona piechota szwedzka na słowa komendy jednocześnie na wszystkich poruszyła się punktach. Rzekłbyś, że ciężkie te ciało z trudnością tylko zmienić zdoła swoją postawę; a tu ruchy odbyły się i lekko i z niezrównaną precyzją, i dorodny żołnierz szwedzki szedł do mniemanego ścigania nieprzyjaciela z pieśnią radosną na ustach i z głośnemi wiwatami na cześć swojego wodza i króla.

Godzina była jedenasta przed samém południem, a od ósméj trwała już walka. Działa polskie umilkły, a szwedzkie grzmiały bez przerwy i pod ich osłoną krokiem podwójnym czoło i prawe skrzydło piechoty nieprzyjacielskiéj rzuciły się do ataku. Nieco opodal postępował za niemi oddział jazdy, mający dopiero puścić się w pogoń, gdy już piesi szyki polskie zupełnie przełamią. Ale na to tylko czekał Chodkiewicz.

Zamiast przed wpadającym Szwedem pierzchać w nieładzie, czekali go owszem nasi, po umiejętnie dokonanym obrocie, z rozwiniętemi szeregami, tak iż mała przed chwilą garstka zdawała się być potrojoną. Jednocześnie silny zastęp czeladzi i ciurów obozowych, uszykowany skrycie z rozkazu Hetmana i znienacka wyprowadzony w pole, przerażał niespodzianym widokiem nieprzyjaciół, którzy od razu, lecz zbyt późno poznali, że cały mniemany ów odwrót był zasadzką, i którzy już teraz pod wpływem przestrachu sądzili, że wódz polski ukrył przed niemi większą część swego wojska, a teraz ich ze wszech stron otoczy. Naszym przeciwnie widok ten ducha dodawał, bo nawet rozchodzić się zaczynała pogłoska, że to z Litwy przybywają na pomoc chorągwie Krzysztofa Radziwiłła. W tém zagrzmiały kotły, trąby i bębny, z działek hetmańskich zaczęto dawać salwy, a całe rycerstwo, przy okrzyku: „Jezus, Marja!" uderzyło na Szwedów z niesłychaną natarczywością. Pierwszy Wincenty Wojno, za danym znakiem, skoczył z kopyta z trzemaset hussarzami w sam środek armji szwedzkiéj, ustawioną znów co prędzéj w szyku piechotę. Daremny był mężny jéj opór, ogień muszkietników i płot żelaznych, długich ich kopji; hussarze zapędem dzielnych swych koni tratują, przeskakują pierwsze szeregi i łamią straszny ten hufiec. Poparcie przez rajtarję kurlandzką potężną w tém miejscu zadaje klęskę nieprzyjacielowi. Chodkiewicz, mając przy swoim boku księcia Fryderyka Kurlandzkiego, wiedzie rycerstwo, przebiega szyki, głosem i szablą przywodzi wszystkim. W téj świetnéj szarży hussarji, która już dawała przewagę naszym chorągwiom, polegli zgonem bohaterskim: Talwosz, Latkowski podskarbi hetmański, Mamocki, Strepkowski, Jabłonowski, Hohoł, Pągowski, Milecki, Skrzetuski, Kufarski, Mickiewicz i dwaj bracia Jurakowie. Odnieśli rany: sam dzielny przywódca Wojno, Czarkowski, Maliszewski, Kiersnowski, Zaborowski, Tański, Ludczywiński, Sielecki, Zień, Korytowski, Cieciszowski, Kamieński, Młodzianowski i Piotrowski.

Popłoch zaczął się coraz większy szerzyć między Szwedami, gdy wódz ich, Andrzej Linderson, dla ciężkich ran nie mogąc się utrzymać na nogach, przypadł na kolana i w téj postawie walcząc zginął. Stygel, dowódca rozbitéj piechoty węgierskiéj, ustępując z pola, wpadł do pobliskiego kościołka, gdzie zatarasowany, szkodliwie przez okna i z dachu strzelbą naszych raził. Rzucił się oddział piechoty polskiéj na ów kościołek, ale zanim zdołał dotrzéć do murów, padli zabici Jan Mlicki i młody Seweryn Kropniew, Estończyk. Kozak nadworny Laskiego, Suk, dobiegł do drzwi z ochotnikami i te wysadził. Stygel, widząc, że nie ujdzie, udając Polaka, zaczął Węgrów swoich zabijać; poznany jednak, z powodu że dwa razy przedtém wypuszczony na słowo, dwa razy je złamał, z rozkazu hetmańskiego rozsiekany został. Stüver, który z Lindersonem czołu piechoty szwedzkiéj przywodził, widząc straszną klęskę swoich, wdziewa szyszak polski na głowę i udaje Polaka. Wydała go jednak nieumiejętność języka, a schwytany, gdy się od śmierci wypraszał. po

zdarciu szyszaka poznany przez Kazanowskiego, dostał się w niewolę.

Równocześnie Tomasz Dąbrowa, przywódzca lewego skrzydła, korzystając z powstałéj wichury od morza, która piaskiem i dymem oczy wrogom zasypywała, rozbiwszy rajtary Mansfelda, brał ich na kopje i wycinał szablą. Z jego ręki poległ mężny a młody książę Luneburgski, Fryderyk, zięć Karola IX. Henryk Brandt, dowodzący lewém skrzydłem szwedzkiém, mając rozkaz na czele silnego hufca jazdy przed walką zachodzić w tył Polakom, a dla wielkiéj kurzawy nie mogąc dojrzéć, na którą stronę przeważa zwycięztwo, ruszył ku Dźwinie i niespodzianie natrafił na pułk Sapiehy. Naparty silnie. dotrzymywał mężnie pola; po dwakroć złamany, po dwakroć przychodził do szyku. Dojrzał to krwawe starcie Hetman; wyséła więc w pomoc chorągiew Laskiego. Ponowiony atak łamie ostatecznie hufiec ratarów, który w ucieczce szuka ocalenia.

Sam Chodkiewicz ledwie w téj bitwie uszedł śmierci. Prowadząc do boju jedne chorągwie, zachęcając drugie, gdy przebiega szeregi, przypada znagła szwedzki rajtar, a pomyliwszy się, zamiast hetmana, jednego z przybocznych wystrzałem z pistoletu kładzie trupem. Uniesiony gniewem Chodkiewich zwraca nań konia, dopędza i szablą głowę mu ścina. Złamani na całéj linji i zmordowani bojem Szwedzi, nie mogąc przyjść do ładu w szykach swoich, w popłochu ogólnym uciekają z pola bitwy. Tu już nie walka, ale krwawa rzeź nastąpiła. Bito uchodzących do samego wieczora, pędząc i zaściełając trupami pola aż do wioski Blumenthal, o ćwierć mili od Rygi. Podług własnoręcznego listu hetmana z Rygi do króla Zygmunta III, na samém pobojowisku naliczono 9.000 poległych Szwedów, a zatém blisko trzy razy tyle, ile było w bitwie wszystkich razem Polaków; a nie wchodzą jeszcze do téj cyfry ci, którzy w pogoni, albo z ran poumierali. Trzystu, co się za Dźwinę dostało, chłopi okoliczni pomordowali. Sam uzurpator szwedzki ciężko ranny, zaledwie z jedną chorągwią jezdnych ujść zdołał. Zdobyto 60 chorągwi, cały obóz z artyllerją z siedmnastu dział polowych, przytém srebrny kredens kosztowny, ze wszystkiemi sprzętami Karola. Z rycerstwa polskiego padło stu zabitych, wielu raniono, a najwięcéj postrzelano koni, co głównie miało swój powód w gwałtowności ataku polskiego i w nietrafności strzałów szwedzkich.

Cała Europa zabrzmiała sławą i podziwem dla Chodkiewicza. Cesarz Rudolf złożył mu powinszowanie; Jakób, król angielski, bogate przesłał dary i przyjaźń swą hetmanowi ofiarował; papież Paweł V listem swoim w pochlebnych, a pełnych szacunku wyrazach winszował bohaterowi tego tryumfu. Nawet sułtan turecki i Abbas, szach perski, przez posłów swoich złożyli Chodkiewiczowi swoje powinszowania. Rzeczpospolita zaś na pamiątkę téj bitwy postanowiła ofiarować mu misternie wyrobioną i kosztowną buławę, na uczczenie wielkiego hetmaństwa litewskiego, które zwycięzca z pod Kircholmu niedawno przedtém był otrzymał, a w całéj Polsce dzień ten obchodzono najradośniéj.

Nie było też to zaprawdę winą dzielnego wodza, że z tak świetnego zwycięztwa małe tyle odnieść zdołał korzyści. Wojska kwarciane, które od dawnego już czasu żadnego nie pobierały żołdu, a którym surowy w karności hetman pomimo to nie pozwalał na własną rękę wynagradzać sobie takiego niedoboru, odmówiły mu posłuszeństwa, a raczéj opuściły go. Własnym kosztem wielki ten obywatel opędzał czas jakiś jeszcze potrzeby nielicznéj garstki, co wierną mu pozostała, a i z nią dokazywał cudów męztwa i genialne wykonywał pomysły. Ale wnet owe środki wyczerpnęły się i w 1611 roku zmuszony był zawrzéć z Szwedami rozejm, zwłaszcza gdy król powoływał go na dowódzcę do innéj wyprawy, która Dymitra Samozwańca i Marynę Mniszkównę osadzić miała na tronie carów moskiewskich.

---

## PAMIĘTAJ!

(z niemieckiego).

Pamiętaj o mnie, kiedy jutrzenka drżąca
Uprzedzi słońce niebios błękitną stroną,
Pamiętaj o mnie, gdy cicha noc myśląca,
Przyjdzie w milczeniu pod srebrną gwiazd osłoną,
Kiedy żądza rozkoszy przyśpieszy piersi tchnienie,
Gdy w marzeniach wieczoru szare przeciągną cienie.

W głębokości lasów ciszy,
Niech ucho twe usłyszy,
Pamiętaj!

Pamiętaj o mnie, gdy zwykłym losem świata,
Pójdziemy luba, a każde w swoją stronę,
Gdy cichy smutek, wygnanie, długie lata,
Przetrawią bólem to serce zrozpaczone,
Śnij o miłości, i ostatniém *bądź zdrowa*,
Czas i pustka są niczém, gdy kto młodość przechowa,

To serce się nie znuży.
Ono ci wciąż powtórzy.
Pamiętaj!

Pamiętaj o mnie, kiedy przebywszy wiele,
Spoczynku doznam do końca wierny tobie,
Pamiętaj o mnie, kiedy na moim grobie
Samotne kwiecie przed tobą liść rozściele,
Ja cię nie ujrzę, droga, lecz dusza co nie ginie
Z dalekich krańców świata jak wierna siostra spłynie,
I śród nocy milczącéj,
Usłyszy głos szemrzący.
Pamiętaj!

*Teofil Lenartowicz*

---

## Podróż balonem Nadarda.

Kiedy w Lizbonie na początku zeszłego stulecia niejaki Guzmas Jezuita, pracowity badacz natury, pierwszy raz ośmielił się wzniesć balonem w powietrze, święta inkwizycja pomysł ten z przekąsem nazwała zuchwałą próbą i podburzyła lud przeciw wynalazcy, który przez szyderstwo nazwał go latającym człowiekiem. Guzmas dla uspokojenia ich, przyrzekł wznieść w powietrze samego wielkiego inkwizytora razem z całym świętym trybunałem, czemu zapobiegając, wtrącono go do więzienia, z którego zaledwie uwolniony za staraniem Jezuitów, umknął do Hiszpanji i tam ze zgryzoty umarł w r. 1724.

W pierwszéj téj próbie, Guzmas balonem przywiązanym do ziemi, wzniósł się w powietrze tylko do wysokości gzemsu jednego z przyległych domów, a chociaż przez niezręczność ludzi trzymających sznury, balon uderzył się gwałtownie o dach i rozdarty razem z aeronautą spadł na ziemię, na szczęście bez żadnego dla niego szwanku, znalazło się jednak wkrótce wielu, nader chętnych do nadpowietrznéj żeglugi. Odtąd już bez przerwy powtarzano tego rodzaju doświadczenia, lecz do dziś dnia ani na krok jeszcze nie postąpiono daléj w odkryciu sztuki kierowania machinami powietrznemi. Aeronauci dzisiejsi, tak samo jak ich poprzednicy, potrafią wznieść się mniéj lub więcéj wysoko, ale żaden z nich nie umie oznaczyć na pewno kierunku swéj podróży.

Franklin przytomny jednéj z licznych tych prób w Paryżu, zapytany co sądzi o tém przedsięwzięciu, odpowiedział:

— „Jest to dziecię nowonarodzone, ale wyrośnie kiedyś na olbrzyma."

Dotąd niemowlę nie przestało być dziecięciem, ale w czasach, kiedy człowiek usprawiedliwił, swoją dotąd niewłaściwą nazwę króla przyrody, kiedy za pomocą elektryczności skasował przestrzeń, a rozjasniając ciemności, słońcu cisnął rękawicę, kiedy podniosłszy się do potęgi twórczéj zrobił z niczego coś, ustalając za pomocą fotografji nieujętne widma; w czasach, kiedy opanował ogień i wodę, kiedy tych dwóch rzemieślników świata do roboty zagnawszy, kazał sobie bić gościniec pod Alpami, odwracać rzeki i łączyć morza: w takich czasach niczemu przeczyć nie można, a tém mniéj opanowaniu powietrza, które samo jedno dotąd poddać się królowi przyrodzenia nie chciało.

Obecnie po różnych próbach i doświadczeniach, wystąpił p. Nadard z nową reformą jazdy powietrznéj, z zapewnieniem, że tą drogą po chmurach jak po górach jeździć będzie. Ażeby walczyć z powietrzem, powiada nowy ten zapaśnik, trzeba być gatunkowo lżejszym od powietrza, jak jest lżejszym ptak choć się porusza w powietrzu. Ażeby mu rozkazywać zamiast służyć za igraszkę, potrzeba się na niem oprzéć, a nie jemu służyć za punkt oparcia. W lokomocji powietrznéj, jak gdzieindziéj, oprzéć się tylko można na tém co się opiera. Powietrze dostateczny opór stawia, a obalając mury, wyrywając stuletnie drzewa, i przepędzając okręty przez najsilniejsze prądy, może również udźwignąć największą budowę, skoro raz podniesioną zostanie w górę do należytéj wysokości. Z téj wychodząc zasady, Nadard karykaturzysta, rysownik, trochę litograf i fotografista, postanowił wybudować balon, który ma być lokomotywą powietrznych wagonów. Że zaś śruba do tego użyta ma grubo kosztować, a żaden z tych co spekulują na kolejach żelaznych, nie ma ochoty spekulować na lataniu, Nadard wpadł na myśl szczęśliwą, zbudowania olbrzymiego balonu dla zebrania pieniędzy od ciekawych i użycia tego funduszu na pierwszą aeromotywę.

Próba powiodła się jak najzupełniéj, d. 5 Października cały Paryż był na nogach, bo balon Nadarda miał się puścić w podróż nadpowietrzną.

Krocie ludu zaległo plac Marsowy, płatnych widzów liczono do dwóchkroć sto tysięcy, drugie tyle było nieuniknionéj gawiedzi, która nie mając czém płacić, zwykle w podobnych razach cieszy się za darmo. W pośrodku ciżby rozrywającéj pierwszy numer dziennika *le Journal à M. Nadard* odbitego w stu tysiącach egzemplarzy, nadymano ogromnę potworę mającą się wznieść w powietrze. a cztery konie pocztowe, obwoziły dla pokazu łódkę, w któréj się mieli puścić podróżni, przeistoczoną na chałupkę zbudowaną z łoziny ze czterema latarniami. Nadęcie gazem trwało długie trzy godziny, a na uszycie samego balonu użyto jedwabnéj materji metrów 20,000, czyli łokci polskich 35,000.

O godzinie czwartéj z południa, balon wzdęty zaczął się majestatycznie kołysać na utrzymujących go sznurach, tłum wrzał z niecierpliwości, muzyka wojskowa towarzyszyła okrzykom. Dwudziestoma sznurami przywiązano łódź, a gdy o godzinie piątéj wszystko było gotowe, p. Nadard otoczony trzynastu towarzyszami z których każdy za podróż zapłacił tysiąc franków, dał znak pożegnania kapeluszem, i rzekł:

— „Puszczajcie."

Balon podniósł się powolnie wśród niezmiernych odgłosów nieprzeliczonego tłumu, a gdy doszedł do wysokości pierwszego prądu powietrza, przeciągnął nad Sekwaną i tam go stracono z oczów. Podróżni spodziewając się dosyć długiéj wędrówki, oprócz żywności i napojów, opatrzyli się w gotowe koperty litografowane z nadpisami w kilku językach, które rzucać mieli w czasie swéj podróży. Przytém ułożono rodzaj kodeksu karnego żeglugi nadpowietrznéj, mocą którego każdy z podróżnych zobowiązał się sumieniem i honorem, słuchać we wszystkiém pana Nadarda, zrzec się własnéj woli, a być mu posłusznym w najdrobniejszym szczególe.

Gdy balon wznosił się w powietrze, oczom podróżnych, pomiędzy któremi było i dwie kobiet, przedstawiły się góry najrozmaitszego koloru i najfantastyczniejszych kształtów. O godzinie 9 wieczorem na wysokości przeszło 2,600 łokci, ujrzano znowu słońce, rzucające jasne światło na przeciągające chmury już pod balonem. Widok ten tak był cudny, że przez kilką chwil, wszyscy podróżni stali oniemiali z zachwytu. Gdy przebywano najwyższe chmury, wiatr nachylił balon na bok, ale nikt tém nie przestraszył się, zawołano tylko na p. Nadarda: „Do góry, do góry."

Chociaż deszcz nie padał, chmury były tak gęste, że podróżni przebiegając przez nie, przemokli zupełnie do nitki. Na wysokości 3,500 łokci pękła lina od klapy, mimo tego p. Nadard chciał podróż daléj odbywać, ale bracia Godardowie przedstawili, że wiatr wieje ku morzu, i dla tego należy spuścić się na ziemię, jeżeli się chce uniknąć niebezpieczeństwa wpadnięcia w morze. Nadard posłuchał, i balon z wielką szybkością jak ptak z postrzeloném skrzydłem zaczął się na dół opuszczać. Kiedy ujrzano ziemię pod sobą, opuszczano kotwicę, ta szczęśliwie się zahaczyła, ale w téj saméj chwili ułamał się ząb od niéj, gondola z podróżnemi została przewróconą i wleczoną z szalonym pośpiechem, po ziemi świeżo wyoranéj. Podróżni chwycili się lin balonu, nikt nie stracił przytomności, a gdy Nadard chciał udzielić pomoc księżnéj Latour d'Auvergne ta rzekła doń:

— „Idź pan tam, gdzie cię wzywa obowiązek kapitana, niech każdy będzie na swoim posterunku, ja zostanę na moim.

I tak w gondoli przewracano się, koziołkowano przeszło minut dwadzieścia, pomimo tego, potłuczenia były mało znaczące, prawie żadne, a gdy balon nareszcie zatrzymał się w miejscu i wszyscy znaleźli się na ziemi bezpieczni i cali, wesołość a nawet pustota ożywiła wszystkich i uraczono się winem z którém nie stłukła się nawet jedna butelka. Znaleziono także w najlepszym stanie dwie fuzje, dwa nabite pistolety, pudełko z ciastkami, i 18 szklanek lodów. Gdy balon przytwierdzono, zawołano włościan w wielkiéj zgromadzonych liczbie, i ci odwieźli tak balon jak i podróżnych do pobliskiéj wioski, Nadard zaś i kilku innych udało się zaraz do Paryża.

Pomimo tego małego niepowodzenia, Nadard ogłosił, że d. 18 Paźdz. puści się swym balonem w drugą podobną podróż, i że chociażby miał kark skręcić, będzie pracował nad zbudowaniem swojéj śruby, mającéj rozwiązać wielkie w aeronautyce pytanie.

---

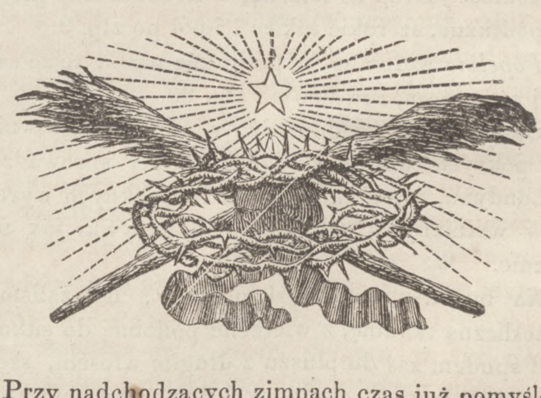
## SZARADA.

*Pierwszy* bywa na liście, także wsteczny *drugi*,
*Wszystek*, dobrze wiadomo, noszą Panie, sługi.

*A. T.*

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Mennice**).

---



Przy nadchodzących zimnach czas już pomyśléć o futrze, będziemy się téż starali dla dogodzenia Czytelniczkom naszym, zebrać potrzebne wiadomości, co do formy salop i okrywek futrzanych, i te podamy w następującém sprawozdaniu. Dziś wspomniemy o rozmaitego rodzaju wyrobach tak wełnianych jak i jedwabnych, na ten cel przeznaczonych, w które magazyn pana Szlenkera, został świeżo zaopatrzony.

Ciężkie rypsy jedwabne, znane pod różnemi nazwiskami; *Vénitienne, Gros mazarin* i t. p., okazały się nie bardzo praktyczne na salopy, łatwo bowiem nabijają się kurzem i rudzieją. Nierównie piękniéj wygląda od nich, a do tego trwaléj się nosi popelina irlandzka, w grubsze albo drobniejsze prążki. Na salopę należy brać popelinę w najlepszym gatunku, łokieć téj kosztuje złp. 16, a że nie potrzeba więcéj nad piętnaście łokci dla osoby średniego wzrostu, wierzch salopy kosztować będzie złp. 240. Do najmodniejszych także należą wierzchy atłasowe, lecz te za nadto strojno i świetnie wyglądają, aby mogły być ogólnie przyjęte. Wreszcie atłas o ile piękny do powozu, o tyle według nas niewłaściwy dla osób chodzących pieszo po ulicy. Ktoby więc chciał koniecznie jedwabnego wierzchu, radziemy mu lepiéj *poult de soie*; salopy takie będą w tym roku bardzo za granicą używane, rękawy i przody, okładają u nich plisą aksamitną.

Na wełniane wierzchy do salop, widzieliśmy w składzie pana Szlenkera, liczny zbiór wyrobów czarnych w rozmaitym rodzaju, które tu szczegółowo opiszemy.

*Drap de Sebastopol*, wyrób bardzo piękny w drobne paseczki, szerokości blisko łokci 2, wypada na zlp. 12. Potrzeba na salopę łokci ośm do dziesięciu. *Gros d'Alma*, podobny do poprzedniego w drobną kratkę, szerokie łokci 2 i pół, po złp. 15 *Gros d'Alma* wełna z jedwabiem szerokości 1 i pół po złp. 11. *Armure de laine* bardzo piękny wyrób nakształt gęsiéj skórki, inny zaś w drobny gzygzak, szeroki łokci 2 i pół, kosztuje od złp. 15 do 16 łokieć. *Drap de Biaritz*, w drobniuchne prążki podłużne, szerokie łokieć 1 i pół po złp. 9.

*Popelina* wełniana w podłużne paski, téjże saméj szerokości, również po złp. 9.

Oprócz tych przedmiotów właściwych głównie na pokrycie do futer, pan Szlenker sprowadził z Londynu, wiele innych bardzo pięknych wyrobów wełnianych, tak na ciepłe okrywki jak na suknie.

Na burnusy zimowe i paletoty, uważaliśmy prześliczną tkaninę, z wierzchu podobną do sukna pod spodem zaś do pluszu z długim włosem, szerokość jéj wynosi około łokci dwa. Na obszerny burnus potrzeba łokci siedm, na paletot łokci pięć. Cena od złp. 22 do 33 gr. 10, stosownie do gatunku.

Na suknie zimowe, podobały nam się bardzo popeliny wełniane, i rypsy w rozmaitym rodzaju popelina w drobny rzucik lub gładka zwana *Epinglé de laine*, szerokości łok. 1 i pół, kosztuje od złp. ośmiu do dziewięciu i pół. Ryps gładki od złp. czterech do sześciu. Ryps angielski w podłużne prążki, łokieć po złp. 3 gr. 10. Uważaliśmy także, lekki ryps, fasonowany w rzucik drobniejszy lub większy, stosownie do gustu, łokieć po złp. trzy, do czterech. Wszystkie te rypsy, mają szerokość łok. 1 i pół, suknia więc taka, mimo dzisiajszych rozmiarów, kosztuje około złp. 66.

Zalecamy w tymże składzie wielki dobór szalów angielskich tartanowych czarnych z popielatym szlakiem, po cenach bardzo umiarkowanych, kosztują bowiem od złp. 60 do 85. Czarne w najlepszym gatunku dochodzą do złp. 166 gr. 20. Z takiego szala można ułożyć bardzo ładną Beduinę z kapturkiem.

Ciepłe chustki zwane *Himalaya* w popielatą i czarną kratę, lub w takież pasy wypadają od złp. 66 do 90; małe takież chusteczki do zarzucenia w pokoju, lub dla dzieci, kosztują od złp. 13 do 15.

Kapelusiki okrągłe kastorowe lub aksamitne, utrzymują się przez zimę zwłaszcza dla młodych osób, aby się w nich nie zaziębić można je będzie wiązać na szarfy, opatrzone podwatowanemi uszkami. Do magazynu panien Kuhnke, nadeszło wiele takich kapelusików, wszystkie w ogólności; mają dosyć wysokie główki, i maleńkie rondka, proste lub odwinięte po bokach, jedne z nich opasane aksamitem, inne lakierowaną skórą, podajemy tu szczegółowy ich opis.

Kapelusik kastorowy *Canottier*, z odwiniętemi bokami, główką podłużną, zachodzącą naprzód, opasany paskiem ze skóry. Z przodu parę małych piórek strusich, między niemi białe skrzydełko. Jedno piórko dłuższe od innych, zarzucone na główkę.

Kapelusik *Hugonocki* kastorowy z prostém rondkiem, przedłużoném tak z przodu jak z tyłu, opasany skórą, na środku pęczek piór strusich i kokarda z paska skórzanego.

Kapelusik *Montespan* kastorowy z główką wysoką i bardzo małém rondkiem, opasany trzema aksamitnemi rulonami. Z przodu kokarda aksamitna, podniesiona w górę, i piórko czarne kapłonie, nakrapiane biało.

Takiż sam kapelusik aksamitny, przybrany z przodu kokardą z pukli, i białém kapłoniém piórkiem, zarzuconém na główkę.

Z pomiędzy zwyczajnych kapeluszy, podobała się nam kapotka *poult de soie*, marszczona, objęta rulonem aksamitnym. Na tym rulonie szły rzędem czarne guziki z lawy. Na środku kapelusza kokarda aksamitna, przepięta była wielką broszą lawową. Karczek jedwabny, przytwierdzony w górze wałeczkiem z guzikami, dobrze odpowiadał całości. Podpięcie składało się z czarnéj blondynki, przy-

branéj nad czołem czarnemi aksamitnemi narcyzami.

Druga kapotka jedwabna miała przód ronda, objęty takąż buffą: za nią szła falbanka z podwójnéj materji ułożona w kontrafałdy, tworząca jakby wachlarz, przytwierdzona w górze bukietem, z aksamitnych liści. Podpięcie z blondynki czarnéj, przybrane nad czołem takiemiż liśćmi, dopełniało ozdoby.

Trzecia kapotka mantynowa cała marszczona, miała brzeg ronda cokolwiek wgięty, *à la Marie Stuart*, objęty bufką, za którą szła wązka falbanka. Po lewéj stronie zdobił ją bukiecik z kwiatów aksamitnych. Podpięcie składało się z blondynki i czarnych jagód.

W ogólności, cena kapotek u panien Kuhnke, od złp. 53 do 70. Kapelusików okrągłych od złp. 60 do 80.

---

## Nowości Zagraniczne.

*Journal des dames et des demoiselles.* W formie sukien, widać niejakie odmiany; staniki robią otwarte, niekiedy z wyłożonym kołnierzem i klapkami. Noszą jeszcze suknie z karoczkiem i kamizeleczką, ale mniéj ich widać niż dawniéj. Kaftaniki z czasów Ludwika XV bardzo używane do codziennego ubrania; równie jak westki amerykańskie, sięgające tylko do stanu. Spódnice u sukien garnirują fałdowaną falbanką, lub pasmanterją mięszaną z aksamitem wystrzyganym w maszynie. Tańsze suknie wyszywają pletnią wełnianą. Rękawy robią ścięte do łokcia, dosyć obcisłe, przybrane odpowiednio do sukni.

Z pomiędzy okrywek, widać najwięcéj paletotów średniéj długości, mniéj więcéj wcinanych do figury. Noszą także długie rotondy, obszywane frendzlą sznelową.

Tak na suknie jak na kapelusze i okrywki atłas będzie w tym roku powszechnie używany, widzieliśmy już wiele pikowanych paletocików atłasowych.

Kapelusze tegoroczne daleko mniéj podniesione w górę niż dawniéj. Noszą do nich maleńkie woalki przylegające do twarzy, zwane *loup.* Woalki takie nie odwijają się wcale na kapelusz. Deseń w nich powinien być drobny i delikatny. Niektóre garnirują ruszką.

Młode panienki, noszą paski z baskiną, i długiemi szarfami. Końce szarfy z obu stron ozdobione są kwastem.

*Le Moniteur de la mode.* Gabrjele nie tylko że nie wychodzą z mody, ale z nadchodzącą zimą coraz częściéj widzieć się dają. Robią je zarówno z materji jedwabnych jak i wełnianych. Suknie do większego ubrania wymagają garnirunku złożonego z pasmanterji, koronki i plis jedwabnych. Na okrywki do nich służą rotondy aksamitne, obszyte wolantem gipiurowym a powyżéj grubą frendzlą sznelową.

Do wyjścia na ulicę używane paletoty na pół przystające do figury, naszyte pletnią szmuklerską z tkaniny zwanéj *drap de veloutine.*

Paski czyli gorseciki szwajcarskie ciągle używane zwłaszcza dla młodych osób. Jedne z nich robią sznurowane z przodu, z długiemi końcami, ogarnirowanemi koronką, inne mają karoczko z pod którego spadają szarfy. Najmodniejsze rękawy ścięte do łokcia, roztwarte cokolwiek u ręki wygarnirowane medaljonami z materji i koronki, brzegiem i wzdłuż rękawa.

U niektórych modniarek, ukazały się nadzwyczaj maleńkie kapelusze, ale przesada we wszystkiém jest naganną. Pierwsze magazyny nie przyjęły téj mody. Z pomiędzy nowych kapeluszy podobała nam się bardzo kapotka atłasowa, z brzegiem pikowanym, na wierzchu zdobił ją pęk kłosów aksamitnych. Od ronda spadała na podpięcie frendzla sznelowa zakończona perełkami z lawy. Podgarnirowanie z blondynki, i szerokie szarfy z wstążki atłasowéj dopełniały ozdoby.

Jnny kapelusz z pluszu fryzowanego, przybrany był z wierzchu takąż samą płaską kokardą. Podpięcie składało się z blondynki, i kwiatów aksamitnych.

Kapelusz z niestrzyżonego aksamitu miał na wierzchu ronda upiętą koronkę, odwróconą do karczka, kaktus aksamitny, dopełniał ozdoby.

Dziewczynki ubierają powszechnie w spódniczki gładkie popelinowe albo lustrynowe, obłożone jedną lub dwoma plisami w szkocką kratę. Pasek z szelkami także w kratę, na koszulce półbatystowéj, zastępuje miejsce stanika. Spódniczka taka popielata przybrana tybetem w kratę czarną i białą bardzo ładnie wygląda.

*Le moniteur de la mode*, dołącza w tym miesiącu tablicę z modelami płaszczyków i paletotów. Przytaczamy je wszystkie.

*Paletot Rozalinda,* sukienny dosyć szeroki, naszyty w rogach, na rękawach i plecach kokardami z takiego samego sukna, obstębnowanemi w maszynie.

Płaszczyk *Berrichon.* Jest to długa rotonda z tyłu fałdowana, na plecach przybrana pasmanterją. Od ramienia do dołu przechodzą słupy

z materji pikowanéj szerokie blisko na ćwierć łokcia, obszyta z obu stron grelotkami. Na ramionach bogate szmuklerskie naramienniki.

Paletot albański z wyłożonym kołnierzem, otwartemi klapkami i kamizeleczką. Przody wyszyte w drabinkę pletnią szmuklerską i sznureczkiem. U dołu po bokach i w tyle podobnie szamerowane słupy, rękawy, epolety kieszenie, klapki, kołnierz i kamizelka, przybrane odpowiednio. Paletot znacznie z tyłu przedłużony.

Paletot *Trianon* z tyłu szeroki i prosty, objęty wązko pikowaną materją. Rękawy nie zbyt wązkie, przybrane do łokcia pasmanterją z kwaścikami. Takież naramienniki wkoło pachy. Kieszonki okrągłe ozdobione stosownie.

Paltot zwany *Claire*, w nowym zupełnie rodzaju po obu stronach przodów idą pasy z materji wyszytéj sutaszem w grecki deseń. Pasy te nie zupełnie sięgają do końca, zakończone u dołu każdy dwoma kwastami. U szyi przechodzi podobny pas, od niego na plecy i na ramiona, spadają klapki, ścięte czworograniasto, wyszyte sutaszem, zakończone kwastami po rogach. Rękawy obłożone wyszywaną materją z wypuszczonemi w górę klapkami.

Szkocki paletot, z tyłu przyfałdowany do karczka, na szwie dana bogata pasmanterja. Rękawy z wyłożonym mankietem, objętym torsadą wzdłuż przodów po obu stronach rozety z pasmanterji, co raz większe w miarę jak zachodzą ku dołowi.

Paletot hiszpański do figury. Plecy gładkie, od stanu idą fałdy przytwierdzone rozetą szmuklerską z grelotkami. Boki pleców oznaczone pasmanterją, przechodzącą na poły. Po bokach kieszenie, z czworograniastą klapą, przybraną odpowiednio. Na przodzie stanika od ramion, oznaczona torsadą pelerynka czworograniasta.

## Opis ryciny.

Figura 1. Suknia czarna *poult de soie*, nad obrębem plisa aksamitna szeroka na ćwierć łokcia, od niéj spada frendzla sznelowa. Staniczek postyljoński, otwarty z przodu, obłożony aksamitką, rękawy tak samo przybrane. Pod spód szmizetka półbatystowa, w zakładki, przepasana paskiem czarnym aksamitnym, od którego spada po lewéj stronie, torebka czyli omonierka aksamitna. Na szyi krawacik muszlinowy, obszyty walansienką. Rękawki półbatystowe z gładkim mankietem. Kapelusik czarny kastorowy, przybrany kokardą aksamitną, i piórem.

Figura 2. Suknia popielata z popeliny irlandzkiéj, naszyta u dołu w kokardę, pasmanterją czarną albo wstawką gipiurową. Stanik gładki, z podwójnym bawetem spięty na szmuklerskie guziki. Rękawy rozcięte do łokcia obszyte pasmanterją. Pod spód rękawki muszlinowe haftowane, takiż kołnierzyk. Kapeusz atłasowy naciągany przybrany trzema piórami, spadającemi przez wierzch ronda. Karczek koronkowy. Podpięcie blondynowe białe. Burno kaszmirowe na jedwabnéj podszewce przyozdobione gipiurą.

## DONIESIENIE.

*Królowie Polscy*, litografja wielkich rozmiarów obejmująca 40 Portretów z textem, wyszło nakładem Zakładu artystyczno-litograficznego, **Adama Dzwonkowskiego i Spółki**, cena złp. 3 gr. 10. Exemplarze nakłejane na tekturę w futerale i oprawie. złp. 5.



Na kościół P.P. Marjawitek w Częstochowie odebraliśmy od T. R. z Inflant, złp. 66 gr. 20. Od W. R. na ołtarz S-go Józefa, złp. 13 gr. 10 i na wotywę przed Matką Boską, złp. 6 gr. 20.— Pani A. P. z Lu. za pamięć i przysłane szaradki bardzo jesteśmy wdzięczni. Szkoda że trzeciéj nie możemy pomieścić. — Panu J. K. Pojmujemy Wasze położenie, ale i nam nie macie czego pazdrościć.— P. Julji Star. w M. Tynny. List jaki pisaliśmy w kopercie nadesłanéj, zwrócono nam, z powodu że do Rossji w kopertach takich nieprzyjmują. Tygodnik zaś odchodzi najregularniéj.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

# Dodatek do Nru 43 Tygodnika Mód.

*Warszawa dnia 24 Października 1863 roku.*


## JAN HALIFAX

### POWIEŚĆ M[ss] MULLOCH

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO.

PRZEZ

**Sewerynę Pruszakową.**

(Dalszy ciąg.)

— Słońce tak pięknie świeci odrzekłem, drżąc od chłodu.

Wróć pan do pokoju, bardzo proszę.

— Dobrze jeżeli i ty pójdziesz ze mną.

Zgodził się na to, wziął mnie pod rękę, i poprowadził do pokoju. Jakkolwiek pielęgnowano mnie, gdym był chory, po raz piérwszy w życiu poznałem, czém jest tkliwa opieka.

— Szczęśliwy jestem, że widzę pana zdrowszego, rzekł z prawdziwem uczuciem.

— A ty jakże się masz Janku? Czy ci się podoba garbarswo? Powiedz mi z całą otwartością.

Skrzywił się, a potém rzekł wesoło: każdy powinien lubić to, co mu chléb przynosi. Wielka to rzecz dla mnie, że nie cierpiałem głodu od miesiąca.

Biedny Janek, położyłem wychudłą rękę na szerokiéj i silnéj jego dłoni. Sprzeczność ta dała nam uczuć obu, że dary Opatrzności, równo są podzielone.

— Tak często pragnąłem cię widziéć Janku, czy nie możesz dłużéj pozostać?

Potrząsnął głową, i ukazał mi wózek. Wtéjże chwili, przez drzwi uchylone spostrzegłem Joannę, spokojnie wracającą z targu.

Zląkłem się, lecz na ten raz nie o siebie. Wiedziałem, że wybuchnie gradem słów, nie chciałem, aby grad ten posypał się na Janka.

— No wracaj, że do wózka rzekłem, pokaż mi jak umiész powozić. Bądź zdrów, czy jedziesz do garbarni?

Tak jest, na resztę dnia rzekł skrzywiwszy się, na znak, że mu to nie bardzo do smaku. Nie dziwiłem się temu wcale.

— Pojadę rzekłem do ciebie po południu.

— Nie panie nie narażaj się!

Ależ ja tak *chcę!*

Ledwie, żem wyrzekł te słowa, Joanna weszła do pokoju. Janek skłonił jéj się z udaném poszanowaniem, i odjechał. Nie pamiętam wcale co mówiła, wiem tylko że słowa jéj ledwie mnie dobiegły jedném uchem, drugiém już uleciały. Poglądałem przez okno, dopóki nie znikła postać Janka. Wziąłem potém kule, zawlokłem się do pokoju mego na piętrze.

Ojciec za powrotem zastał mnie już u stołu.

— Zdrowszy jesteś, jak widzę.

Czułem, że ojciec rad był z méj obecności. Rozmawiał też wesoło przy obiedzie, opowiadał mi, że doktór Jessop mówił mu, o pani która w chwili uniesienia, skaleczyła się niebezpiecznie ostrym nożem.

— Niech to ci będzie nauką dodał ojciec, pamiętaj nie unosić się nigdy.

Biedne dziecko! ciągnął daléj, znałem dobrze jéj ojca. Był to człowiek bardzo gwałtowny. Czy uwierzysz, że ta dziewczynka będzie całe życie nosić piętno swéj zuchwałości.

— Biedaczka odparłem bezmyślnie.

— Nie powinieneś jéj żałować; nie upokorzyła się dotąd mimo bólu, Doktór Jessop, mówił mi że ta mała Urszulka......

— Więc jéj na imie Urszulka?

Przypomniałem sobie dziewczynkę która podała kawałek chleba Jankowi, i głośny jéj krzyk w chwili gdy drzwi zamknęły się za nią.

— Ojcze! rzekłem gdy skończył, i kiedy Joanna, przestała kiwać głową w potakujący sposób.

— Co powiesz mój synu?

— Radbym jechać z tobą do garbarni.

Joanna, która ustawiała krzesła koło stołu, nagle stanęła zdziwiona.

— Panie Tleczer, rzekła, Fineas ledwie, że opuścił łóżko, on nie jest w stanie....

— Dałabyś pokój kobieto, odparł sucho mój ojciec. Czy się czujesz dosyć zdrów, abyś mi mógł towarzyszyć?

— Tak ojcze, jeśli mnie weźmiesz z sobą.

— Rad jestem mój synu, że cię garbarnia zaczyna przecie ż zajmować. Spodziewam się że jak zupełnie wyzdrowiejesz.....

— O nie tak prędko mój ojcze, rzekłem smutno. Wiedziałem dobrze, co ojciec ma na myśli. Nie cierpiałem garbarskiego rzemiosła, i po całych mięsiącach nie zaglądałem do garbarni. Czułem, że nie podobna mi będzie zadosyć uczynić woli ojca, który pragnął widzieć mnie najprzód swoim wspólnikiem, a potem następcą.

Mijaliśmy w milczeniu wązkie uliczki miasta. Mój ojciec szedł poważnie, ja kierowałem wózek tak, żeby być przy nim najbliżéj; przechodzący przyglądali się nam, wszyscy nas znali, lecz mało kto żył z nami bliżéj z powodu, że ojciec był kwakrem.

Nie byłem w miasteczku od dnia, w którym spotkałem Janka Halifax. Jesień była już późna, ale powietrze łagodne i ciepłe; wszystko dało się uśmiechać do mnie, nawet wązkie uliczki Norton Bury.

Garbarnia ojca mego leżała w blizkości, czułem z daleka przykrą woń rozchodzącą się od niéj.

Wchodząc, dopatrywałem Janka między robotnikami.

Siedział w kącie, pomagał dwom kobietom łupać korę. Cały zajęty był robotą; od czasu do czasu przerywał ją na chwilę, aby podać garstkę siana staréj klaczy, która obracała koło młyńskie. Nie mówił do nikogo, i nikt nie zwracał nań uwagi. Nie widział nawet, żeśmy przeszli tuż koło niego. Zapytałem ojca pocichu, czy rad z nowego robotnika.

— Hm, nie ma co powiedzieć przeciw niemu. Może chcesz, żeby poprowadził twój wózek. Chodź że tu żywo chłopcze.

Janek zadrżał, lecz spostrzegłszy mnie uśmiechnął się słodko. Ojciec poszedł do robotników, ja pozostałem w tyle.

Janku, rzekłem, jesteś mi potrzebny.

Otrząsnął się z kory, i przystąpił do mnie z wahaniem.

— Co mi pan rozkaże, zapytał.

— Po co mnie zowiesz panem.

I wyciągnąłem do niego rękę.

— Czy się pan nie wstydzisz dotknąć ręki mojéj, odrzekł, okazując palce powalane korą.

— Dziecinny jesteś mój Janku.

Ułożyliśmy się raz na zawsze, iż odtąd będziemy mówić do siebie po imieniu; jeżeli Janek okazywał mi niejakie uszanowanie, wynikało to raczéj z praw starszeństwa, niż z stosunku pana do sługi.

Prowadził ostróżnie mój wózek, koło rowu pełnego obrzydliwych śmieci, dostaliśmy się wreszcie nad rzekę.

— Odpocznij tu rzekł, jeżeli wyjdziesz z wózka ułożę ci wygodne siedzenie.

Przystałem chętnie na to, pobiegł po starą derkę rozściągnął ją na wielkim stosie kory; a gdym usiadł otulił mnie płaszczem. Przyglądałem się rzece, która srebrną wstęgą wiła się w pośród zielonych łąk pokrytych stadami bydła. Czy ci tak dobrze, zapytał.

— Nicbym nie miał do życzenia, gdybyś usiadł przy mnie.

— Jak najchętniéj.

I poczęliśmy rozmawiać. Zapytałem go, czy się przyzwyczaił do garbani.

— Tak jest, odrzekl z uśmiechem. To mój pałac, mój zamek czarodziejski.

— I miło ci w nim?

— Wyjąwszy, kiedy deszcz pada. Czy zawsze takie ulewy panują w Norton Bury?

— Patrz Janku na ten czysty błękit, rzekłem wskazując rozpogodzone niebo.

— Tak, ale mgła zbiera się nad Sawerną, a to znak, że dészcz będzie padał dziś jeszcze. Nie użyję mego październikowego wieczoru.

— Więc ty przepędzasz wieczory na dworze. Musi tu być bardzo zimno po zachodzie słońca.

— Ha i cóż robić! Może ci chłodno? pójdę po co ciepłego, ale prawda, nie mam nic prócz téj derki.

I otulił mnie lepiéj.

— Jakżeś ty wychudł od czasu, kiedym cię poznał. Musiałeś bardzo chorować? cóż ci było?

Ujęty jego troskliwością, opowiedziałem mu, że od dzieciństwa życie moje było jednym ciągiem rozlicznych chorób, z których nie podźwignę się pewnie aż do śmierci.

Janek widocznie posmutniał.

— O! alem ja szczęśliwy, dodałem; mam wygodny dom, dobrego ojca, znalazłem to, czego mi dotąd nie dostawało, dobrego przyjaciela.

Janek uśmiechnął się, ale widziałem, że mnie nie zrozumiał. Charaktery silne zamknięte w sobie, nie łatwo przyjmują wrażenia, lecz raz przyjęte zachowają na zawsze w głębi duszy. Głos Janka, jego spojrzenie przekonywały mnie, że miał cha-

rakter mało okazujący, ale za to pełen szlachetnych uczuć; charakter, na którym można śmiało polegać.

— No dość już mówiłem o sobie; rzekłem zmieniając przedmiot. Powiedz mi teraz Janku, czyś się pogodzil na dobre z garbarnią?

Spojrzał mi w oczy, ręce włożył w kieszenie, i zaczął gwizdać.

— Janku, powiedzże mi prawdę.

— A więc nie cierpię jéj, rzekł żywo. Ależ dodał spokojniéj, pragnę do niéj przywyknąć, jak tylu innych lepszych odemnie przywykło do gorszych rzeczy. Trzeba znaleść upodobanie w tém, co nam daje kawałek chleba.

— Masz wiele zastanowienia na twój wiek mój Janku.

— Nie żartuj sobie ze mnie; a szczególniéj nie myśl, żebym był niewdzięcznym dla twego ojca, który mnie przygarnął. Skoro postawiłem nogę na piérwszym szczeblu, mam nadzieję, że zajdę wyżéj.

— I ja tak myślę, rzekłem; pewien jestem żeś się nad tém zastanawiał.

— O tak, mam wiele czasu do myślenia. Gdybym tylko nauczył się czytać.

— Czy chciałbyś zostać garbarzem.

Zastanowił się chwilę.

— Chciałbym zostać czémkolwiek bądź, odrzekł z powagą, byleby zawód mój był uczciwy. Mam zasadę, że zawód nie plami człowieka, ale człowiek uszlachetnia swój zawód. Wcześnie usłyszałem to zdanie, i odtąd stało się zasadą mego życia.

— Dobrze, bardzo dobrze; a jednak, dodałem patrząc mu w oczy podczas gdy stał obok mnie z głową podniesioną w górą, a jednak, Janku, myślę, że mógłbyś zostać czémbyś chciał.

Rozśmiał się na to.

— Wątpię rzekł, przynajmniéj nie teraz. Cokolwiek bądź, jestem tylko sługą ojca twego.

To mówiąc na pół żartobliwie, na pół poważnie, zdjął przedemną kapelusz.

Długo trwała rozmowa. Zapytałem go wreszcie o mieszkanie.

— Co chcesz powiedzieć, zagadnął.

— Gdzie mieszkasz? u kogo jadasz obiad?

— O! na to nie wiele tracę czasu. Jadam obiad za zwyczaj chodząc. Wieczerzę zaś lubię jeść tu, na stosie kory, kiedy robotnicy rozejdą się do domów.

— Ależ gdzie twoje mieszkanie, gdzie sypiasz?

— Gdzie mogę, najczęściéj tu.

— Jakto pod gołem niebem?

— Nie inaczéj.

Zdumiałem, sypiać na dworze jak włóczęga! To mi się wydało ostatnim stopniem ludzkiéj nędzy.

— Powiem ci wszystko, dodał, siadając przy mnie. Otóż zarabiani na tydzień trzy szylingi, to jest pięć pensów na dzień. Ztych wydaję na życie trzy, bo jak widzisz rosnę, a zatem potrzebuję posiłku. Zostaje mi dwa na mieszkanie. Musiałbym koniecznie przyczepić się do kogo.... wolę więc sypiać na tych wiórach.

— Biedny Janku!

— Nie smuć się próżno. Nie uwierzysz, jak to miło spać na dworze. Przyjemnie obudziwszy się w nocy, zobaczysz gwiazdy błyskające nad głową.

— Ale czyż ci nie zimno!

— Nie zawsze. Robię sobie kotlinkę w pośród kory, i tulę się w niéj jak zając. Ta derka którą dostałem, osłania mnie od chłodu. Z rana idę do rzeki, zanurzam się, i to ogrzewa mnie na cały dzień.

Drżałem na samo wspomnienie zimnéj wody; przecież mimo tylu niewygód, Janek był żywym obrazem zdrowia. Jakże mu zazdrościłem!

Taki rodzaj życia, nie może długo potrwać.

— Co zrobisz jak zima nadejdzie? zapytałem. Zamyślił się głęboko.

— Nie wiem, rzekł; myślę jednak że się wynajdzie jakiś sposób. Bóg ma w opiece drobne ptaszęta, On i mnie nie opuści.

— Janku zapytałem po chwili, czy pamiętasz ową kobietę, co tak ostro zgromiła cię przed domem.

— Tak pamiętam wszystko, co zaszło w tym dniu.

— Była niegdyś moją piastunką, ciągnąłem daléj. Ona nie tak zła jak się wydaje, choć nieszczęście rozdrażniło jéj charakter. Jéj syn starszy Jakób, zaciągnął się do wojska! On to woził skóry przed tobą.

— I cóż zapytał Janek?

— Salomea biedna, dodałem, twoje dwa pensy, mogą jéj dopomódz. Pozwól niech z nią pomówię; może ci odstąpi izdebkę na poddaszu, w któréj mieszkał Jakób. Wartoby przynajmniéj sprobować.

— I ja tak sądzę. Jakżeś ty dla mnie dobry.

Słowa te wyrzekł z głębokiém uczuciem.

— Wsiadłem żywo do wózka, chcąc spełnić od razu mój pomysł. Janek towarzyszył mi do domu Salomei Watkins. Uprzedziłem ojca, że powracam do domu.

W krótce stanęliśmy przed ubogim domkiem wdowy, Salomea siedziała w kącie przy kominku, sporządzając kaftan młodszego syna Jerzego;

Jakób zapełniał jeszcze serce biednéj matki. Nie poznała w młodym robotniku chłopca, którego niedawno nazwała włóczęgą.

Przystała na warunki, lecz nie mogła wyjść z podziwienia, gdym mówił, że Janek jest moim przyjacielem.

Pragnąłem obejrzéć izdebkę. Janek zaniósł mnie po schodach, usiedliśmy na łóżku Jakóba. Była to mała i niska ciupka, lecz Janek czuł się dziwnie zadowolony.

— Będę tu szczęśliwy jak król, zawołał. Patrz, co za pyszny widok!

Spojrzałem przez okienko, i wykrzyknąłem z podziwienia. Z jednéj strony, widać było miasteczko, mury starego opactwa, daléj jak sięgnąć okiem ciągnęły się szerokie błonia, i lesiste pagórki; zdrugiéj strony, płynęła biała Sawerna, w pośród łąk niezmierzonych, za którémi pasmo gór owiane siną mgłą, zamykało widnokrąg. Wszystko to razem, tworzyło cudny obraz.

— Rad więc jesteś z twego pałacu, zapytałem.

— O! i jak! odrzekł z rozpromienioną twarzą.

I ja czułem się prawdziwie szczęśliwy.

Jakże mi drogą pamięć téj ubogiéj izdebki! tak bliskiéj nieba, że dészcz wpływał do niéj strumieniem, że słońce dopiakało bez litości, że zimą tumany śniegu, zaciemniały w niéj światło. A jednak ileśmy tu przeżyli chwil błogich, ile uroczych unieśli ztąd pamiątek.

## IV.

Zima zaczęła się wcześnie w tym roku. Była to dla mnie smutna i przykra pora, chorowałem bowiem bezustannie. Nie widywałem nikogo, prócz ojca, doktora Jessop i Joanny. W końcu jednak oświadczyłem, że pragnę widziéć Janka.

— I cóż ci po nim, rzekł ojciec.

Radbym go widziéć, nic więcéj.

— Po co go odrywać od roboty. Jego towarzystwo nie dla ciebie. Pójdzie on swoją drogą!

Nie nalegałem, czując że wiele zależy Jankowi na względach ojca mego. Pisywałem do niego niekiedy, drukowanemi zgłoskami, gdyż taki tylko czytać umiał; posyłałem mu po kilka książek, pragnąc rozwinąć jego umysł; wreszcie oczekiwałem wiosny. Nie chciałem podstępnie przyciągać go domu, gdzie mógł doznać niemiłego przyjęcia. do

Dnia jednego w lutym, kiedy ciepły dészcz rozwilżył zmarzłą ziemię, wyszedłem do ogrodu chcąc odetchnąć świeżém powietrzem. Joanna szemrała na to, ojciec przeciwnie zachęcał mnie do przechadzki. Biedny ojciec! on mniemał, że silną wolą można się otrząsnąć z fizycznego cierpienia.

Czułem się w tym dniu ukrzepiony; z radością patrzałem na trawkę wyglądającą nieśmiało z pod śniegu. Joanna towarzyszyła mi, i opowiadała o biednym Jakóbie, który ujęty przez Francuzów przed bitwą, został niedawno rozstrzelany.

— Cóż to za pan chodzi po ogrodzie, zawołała, wyrzucając z fartucha kapustę.

Uśmiechnąłem się, gdyż w owym nieznajomym panu, poznałem od razu Janka.

Ubrany był przyzwoicie, w nowe suknie, na szyi miał biały kołnierzyk, na który spadały długie pierścienie jasnych włosów. Nie zdziwiła mnie pomyłka Joanny, młodzian zmienił się do niepoznania.

— Po co tu przychodzisz, zawołała z gniewem, przypatrzywszy się bliżéj.

— Pan Tleczer dał mi polecenie.

— Mów żywo i idź precz, towarzystwo z tobą wcale nie przystoi paniczowi.

— Joanno zawołałem z oburzeniem.

— Janek nie odrzekł słowa żywy rumieniec oblał mu policzki i świadczył o wewnętrznéj walce. Wziąłem go za rękę powitałem z uczuciem.

Pan Tleczer przysyła mnie, rzekł, abym towarzyszył na przechadzkę panu Fineasowi. Czy moje towarzystwo przystoi mu, lub nie, do niego należy rozsądzić.

Spojrzał na mnie, wzrok mój dostateczną był odpowiedzią.

Joanna odeszła rozgniewana.

— Piękny mi panicz w nowych sukniach, mruczała pod nosem; a nie waż mi się zostawiać twego wózka pod oknami sali jadalnéj.

— Nie wożę już skór, odrzekł spokojnie Janek.

— Już nie wozisz skór! powtórzyłem, gdy Joanna odeszła.

— Nie. Wciągu zimy nauczyłem się biegle czytać i rachować, dzięki twoim książkom. Ojciec twój odkrył to, i uwolnił mnie od wożenia, a za to kazał odbierać pieniądze pod rachunkiem. Powiększył mi płacę wdwójnasób.

Mówił z rozpromienioną twarzą. Był to rzeczywiście ważny krok w jego zawodzie.

— Musiał ci zupełnie zaufać mój Janku, rzekłem; ojciec mój bowiem nie skory do powierzania pieniędzy.

— To właśnie cieszy mnie najwięcéj. On bardzo na mnie łaskaw, dziś naprzykład pozwolił mi iść z tobą na przechadzkę.

(d. c. n.)




TYGODNIK MÓD

*w Warszawie*